



ITALO SVEVO

MORDERSTWO Z ULICY BELPOGGIO

Przeł. Mariola Gładysz

Italo Svevo (1861 - 1928), właściwie Aron Hector Schmitz, urodził się w Trieście (w czasach monarchii habsburskiej). Ojciec był Niemcem pochodzenia żydowskiego, a matka Włoszką. Przynależność do odrębnych kultur miała wpływ na twórczość pisarza i na jego życie prywatne, czego dowodem jest już sam wybór pseudonimu Italo Svevo, czyli Włosko Szwabski.

Italo Svevo jest czołowym przedstawicielem włoskiej powieści psychologicznej i został doceniony przez krytykę dopiero pod koniec swojego życia. Odkrył go James Joyce, cenili m. in. Gustaw Herling-Grudziński, Valery Larbaud i noblista Eugenio Montale. Na język polski przetłumaczono trzy jego powieści: "Starość", "Jedno życie" oraz "Zeno Cosini", z której pochodzi słynny cytat: "Życie nie jest ani brzydkie, ani piękne, ale jest oryginalne". Bohaterowie Sveva to tzw. inetti - ludzie nieprzystosowani do życia, samotni, sfrustrowani, skazani na przegraną.

Bohaterem "Morderstwa z ulicy Belpoggio" jest Giorgio, który z trudem zalicza dwa lata liceum, po czym znajduje pracę jako tragarz. Pracować mu się jednak nie chce. Pewnego dnia popełnia morderstwo dla pieniędzy, mając nadzieję, że odmieni mu ono życie.

A więc zabić było rzeczą tak łatwą? Zatrzymał się tylko na chwilę w swym szalonym biegu i popatrzył za siebie. Na długiej, słabo oświetlonej drodze, widział leżące na ziemi ciało Antonia, którego nazwiska nawet nie znał. Ku swemu zdziwieniu widział je tak dokładnie, że potrafił przejrzeć w okamgnieniu fizjonomię: tę twarz wycieńczoną cierpieniem i pozycję ciała, naturalną, choć trochę nietypową. Antonio miał głowę opartą na ramieniu, po silnym uderzeniu nią o mur i - na tle całości - jedynie palce od stóp, proste i robiące w słabym świetle wrażenie bardzo długich, zdawały się należeć do ciała, które rozłożyło się tam dobrowolnie. Nato miast cała reszta była naprawdę od osoby nieżywej, a raczej zamordowanej.

Wybrał znane mu drogi na skróty, unikając krętych ścieżek.

Była to ucieczka niepohamowana, jak gdyby gwardie deptały mu już po piętach. Nieomal przewrócił na ziemię kobietę i ominął ją w pędzie, nie zważając na jej przekleństwa.

Zatrzymał się przy Placu San Giusto. Czuł, że krew krąży mu w żyłach obłądnie, ale nie miał żadnej zadyszki, i zresztą to nie bieg go zmęczył. Może wino wcześniej? W każdym razie nie zabójstwo. Nie, z pewnością nie ono.

Antonio poprosił go o potrzymanie przez chwilę tej paczki banknotów, a gdy po chwili zażądał jej zwrotu, zabłysła mu w głowie myśl, że właściwie mało go dzieli od absolutnej własności tych pieniędzy - życie Antonia! Jeszcze dobrze się w nim ta myśl nie narodziła, a już popychała go do czynu i dostarczała mu energii do zadania ciosu tak potężnego, że wysiłek odczuwało się w mięśniach ramienia.

Przed opuszczeniem placu rozerwał paczkę banknotów i rozprowadził zawartość po kieszeniach. Potem ruszył krokiem powolnym, który jednak wbrew jego woli przeistoczył się w szybki, gdyż po biegu pod górkę niełatwo mu było zwolnić na płaskim terenie. Skończyło się na wielkiej zadyszce, która zmusiła go do postoju, akurat pod zamkiem z wartownikiem lustrującym miasto.

Na schodach, które prowadziły do Placu della Legna, potrafił już łatwiej przyhamować, gdyż schodząc, za każdym razem stawiał na stopniu obydwie stopy. Chciał skupić myśli na dalszym działaniu, ale wytłumaczył sobie, że nie ma to teraz sensu, gdyż każdy jego ruch jest dyktowany koniecznością. Znów przyspieszył kroku. Mógłby się udać na stację kolejową i usiłować wyjechać do Udine, skąd łatwo byłoby się przedostać do Szwajcarii.

Poczuł się lepiej. Nareszcie rozrzedziło się lekkie zamglenie ogarniające jego mózg od czasu kolacji, którą zafundował mu biedny Antonio. Nie ono było przyczyną zabójstwa, choć jednak wino, zaoferowane mu przez ofiarę, ułatwiło mu egzekucję.



Gdyby nie miał tych zamroczeń w głowie, pamiętałby o tym, że po zabójstwie czekało go wiele rzeczy do zrobienia, zanim mógłby się cieszyć fortuną. I przy swym charakterze, niepewnym i mało energicznym, szukałby sposobu, aby zadziałać w warunkach pewnych, czyli nigdy.

Gdzie można było zabić bez ryzyka? I nawet gdyby było takie miejsce, czy Antonia udałoby się w nie zwabić? Zebrało mu się na śmiech. Ten Antonio był takim imbecylem, że można mu było z łatwością rozkazać udanie się na rzeź gdziekolwiek.

Spacerował teraz po ulicy odważnie i spokojnie, a jego opanowanie brało się z przekonania, że jeszcze nikt z przechodniów nie może wiedzieć o uczynionym przez niego zabójstwie. Dla nich był on wciąż człowiekiem uczciwym, więc patrzył im śmiało w twarz, jak gdyby chciał po raz ostatni skorzystać z prawa, które tracił. Na stacji jednak ponownie napadła go nerwowość. Miał tu bowiem uczynić krok niezwykle ważny dla swego losu. Och, ileż by doznał spokoju, gdyby mógł się stąd oddalić z zawrotną prędkością! Intuicja, o której istnieniu w sobie nawet nie wiedział, podpowiadała mu, że na drugim końcu miasta już się roznosi wiadomość o zabójstwie. Czuł, że jeśli nie ucieknie, będzie szybko ujęty.

O pierwszej był pociąg i do jego odjazdu brakowało około pół godziny. Nie chciał wejść do pustawego hallu zbyt wcześnie, ale nie potrafił też długo przebywać sam ze sobą w ciemnościach, i to nie z powodu lęku, ale z niecierpliwości. Zatrzymał wzrok na dworcowym zegarze, kontrolując upływający czas, po czym jego uwaga skierowała się na bezgwiezdne i bezchmurne niebo.

Co mu jeszcze pozostawało do zrobienia? "Gdybym mógł z kimś porozmawiać!" - pomyślał, i był już prawie gotów zaczepić woźnicę, który drzemał na swym wozie. Powstrzymał się jednak, bo zachodziło niebezpieczeństwo, że ujawni swoją zbrodnię. I niespodziewanie nawiedziło go, oprócz strachu przed osądem drugich, odczucie całkiem pozytywne: nie skrucha, ale coś w rodzaju dumy ze swej błyskawicznej decyzji zabicia Antonia oraz z egzekucji śmiałej i skutecznej.

Wszedł do hallu. Chciał zobaczyć twarze obecnych, jak gdyby miał wyczytać z nich swoje przeznaczenie.

Na ławce, obok drzwi, drzemały przy swych koszach dwie wieśniaczki, trochę dalej kilku urzędników grzebało w papierach, a na lewo otyły mężczyzna palił papierosa przed prawie pustym kuflem piwa.

Zadziwił się znowu swą ostrością wzroku i poczuł się silny, jak

nigdy wcześniej, gotów do walki lub do ucieczki. Jakby jego ciało, zawiadomione o istniejącym niebezpieczeństwie, zebrało w tym trudnym momencie wszystkie możliwe siły.

Jego kroki czyniły w pustawym lokalu hałas i prowokowały dziwne echo. Kobiety podniosły na niego wzrok.

Uderzył w okienko, aby przywołać kasjera, i nie bez wysiłku oczekiwał go w bezruchu przez kilka minut.

- Bilet do Udine!

- Która klasa?

Nie pomyślał o tym.

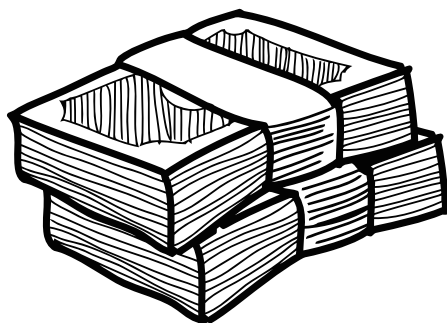
- Trzecia.

Nie wybierał jej z oszczędności, ale z ostrożności. Musiał bowiem podróżować na poziomie adekwatnym do swego wyglądu, a miał na sobie rozdarte ubranie.

- Tam i z powrotem - dodał szybko, zaskoczony swą bystrością. Wyciągnął plik banknotów, ale włożył go szybko do kieszeni, bo były w nim same tysiące. Znalazł mniejszy, z dziesiątkami, i zapłacił.

Wydawało mu się, mając już bilet w kieszeni, że połowa dzieła jest wykonana. Nawet więcej niż połowa, bo nie musiał już z nikim rozmawiać. Pozostawało mu usiąść sobie spokojnie w przedziale z dwiema wieśniaczkami i... reszta należała do lokomotywy.

Trzeba było wypełnić w jakiś sposób czas, który pozostawał do odjazdu. Włożył ręce do kieszeni i dotykał banknotów. Były przyjaźne i frapujące, jak gdyby chciały symbolizować życie, które mu mogły zapewnić.



Z rękami w kieszeniach oparł się o filar drzwi w najciemniejszym punkcie hallu, skąd mógł kontrolować otoczenie, będąc samemu niewidocznym. Pomimo że czuł się całkowicie bezpieczny, nie opuszczała go ostrożność.

Nie odczuwał radości przy dotykaniu banknotów i wiązał to z faktem, że nie czuł się jeszcze ich pewnym posiadaczem. Ale i nawet bez tego skrupułu, myśl o dokonanej zbrodni nie pozostawiłaby w nim miejsca dla innych treści. Nie doznawał niepokoju, ani skruchy, aczkolwiek dziwne odczucie z prawej ręki, tej, którą zadał cios, rozniosło się już po całym organizmie. Zabójstwo, tak krótkie i gwałtowne, pozostawiło ślady w całym ciele. I również myśli nie chciały się odzepić.

- Oddaj mi moje pieniądze - powiedział Antonio, zatrzymując się gwałtownie. Giorgio już zdecydował, że ich nie odda, ale nie mając pewności, że Antonio nie domyślił się jego zamiaru, postanowił wyeliminować u niego ewentualne podejrzenie. Wyciągnął lewą rękę z pieniędzmi, wiedząc że z tej odległości ich dłonie się nie dotkną. Antonio z miejsca zbliżył się zbyt blisko i siła ciosu, który otrzymał, wynikała po części z jego gwałtownego ruchu w kierunku ostrza. Już się zginał, a jeszcze nie zdawał sobie sprawy, co mu się przytrafia. Położył na ranie obydwie ręce, po czym je odsunął, zaplamione krwią. Wydał okrzyk i padł na ziemię, gdzie szybko zeszytniał. Dziwne! W tym okrzyku głos Antonia stał się poważny i uroczysty; nie był to już bełkot pijaczyny. "Biednego Antonia spotkała rzecz bardzo ciężka" - pomyślał Giorgio podniosło. Zniechęca ocknął się ze swoich myśli. Do hallu weszła szybkim krokiem gwardia i udała się wprost do kasy. Giorgiowi zmroziło krew w żyłach. Czyżby go już szukali? Stał w bezruchu, choć instynkt popychał go do wyjścia. Widząc ożywienie, z jakim gwardia rozmawiała z urzędnikiem, przekonał się, że przybyła ona po to, by uniemożliwić mu wyjazd. Wyszedł więc z hallu tak ostrożnie, że wieśniaczki, siedzące bliźutko drzwi, nawet się nie spostrzegły. W ciemnościach placu poczuł się spokojnie i prawie zwątpił, czy ta ucieczka ma sens, ale powrócić do hallu nie miał odwagi. Postanowił zatrzymać się na jakiś czas w tym miejscu, mając nadzieję, że dobra gwiazda wskaże mu, jak ma się poruszać dalej. Nie było mu w tym momencie łatwo. Wiedział, że zaznałby spokoju, słuchając jedynie własnego instynktu, tj. uciekając stąd jak najdalej. Widok osoby, która być może miała nakaz jego aresztowania, wystarczył do stłumienia w nim odwagi, którą dopiero co się szczycił. Starał się zachowywać naturalnie i nie rzucać się nikomu w oczy.

Usiadł na schodach. Było mu niewygodnie, ale był przekonany, że jest to wybór słuszny. Już kilka dni wcześniej, po obfitym posiłku, jedynym w ciągu 48 godzin, usiadł na schodach kościoła i zauważył, że nikt z przechodniów go nie dostrzegął.

Wyjechać? Postawić na odwagę i ruszyć na ślepo, nie przejmując się, że już przy samym wyjeździe, lub na najbliższym przystanku, mogą go zatrzymać? Nie tyle ta wątpliwość, ile strach przed lękiem, od którego dopiero co się uwolnił, powstrzymywał go od tego zamiaru.



Przeistoczył swój niepokój w rozumowanie: wyjazd oznaczał ucieczkę, a ucieczka była przyznaniem się do winy. Gdyby go złapali w trakcie ucieczki, byłby bezlitośnie zgubiony. Lepiej pozostać. Nie brakowało mu argumentów za tym, aby swoje pragnienie nieoddale nia się od miasta uznać za posunięcie nadzwyczaj rozsądne. Kto mógłby go znaleźć? Dwie lub trzy nieznanym osobom widziały go razem z Antoniem, ale w przeciwległym miejscu jego zamieszkania. Niemniej odwaga po ostatnim tchórzostwie opuściła go, i pomimo że rozum mu ją nakazywał, to wcale nie miał zamiaru jej znaleźć, ale oszukiwał się, że ją bierze oczywiście pod uwagę. Był bardzo ciekawy, co ludzie mówią o zabójstwie. Mógłby wprowadzić powrócić na miejsce zbrodni i dyskretnie zebrać informacje, ale w tym celu trzeba by oczywiście rozmawiać o morderstwie, i może nawet z gwardiami. Już na samą myśl włos mu się jeżył na głowie. Nie! Lepiej od razu wrócić do tej nory, w której mieszkał od ponad roku, i przez dłuższy czas jej nie opuszczać. No i również konty

nuować życie w dotychczasowym stylu, pozwalając sobie jedynie na te wygody, które nie rzucają się w oczy.

Chcąc dotrzeć do swego zamieszkania przy Barriera Vecchia, musiał przejść przez szeroką ulicę - via del Torrente.

Ogromny lęk przed światłem zmienił mu plany. Usprawiedliwiając się ostrożnością, wszedł w samotną drożynę, która zaprowadziła go na wzniesienie przylegające do szerokiej, ale ubocznej drogi, mało uczęszczanej o tej godzinie i skąpo oświetlonej. Ciągłe preferując drogi najciemniejsze, zaszedł po wielkim okrażeniu do celu. Zatrzywał się przed drzwiami, niższymi od ulicy o jeden schodek. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i poczuł się w głębokiej ciemności od razu lepiej. Popęłnił błąd, udając się na stację, ale powróciwszy bez przeszkód do domu, uważał, że go anulował.

Tu nikt nie wiedział o jego próbie ucieczki. W rogu pokoju słyszał jedynie chrapanie Giovanniego, prawdopodobnie pijanego.

Poszukał po omacku swego materaca, położył się i rozebrał. Włożył kurtkę z pieniędzmi pod poduszkę i zapadł w sen z majakami.

Nie wydawało mu się, że jest zabójcą. Oczywiście miał przed oczami i daleką ulicę, która zapisała mu się w pamięci, gdy uciekał po zbrodni, i ofiarę, którą poznał na krótko, i pobyt na stacji kolejowej, ale te obrazy nie wzruszały go, ani nie budziły w nim trwogi. Był bardzo zmęczony i miał wrażenie, że otaczająca go ciemność już nigdy się nie rozjaśni. Kto go tu przyjdzie szukać?



II

W swym środowisku Giorgio był nazywany "panem". To przydomko zawdzięczał nie manierom, które skądinąd wyróżniały go spośród innych, ale pogardzie, którą żywił dla obyczajów swych kompanów. Oni byli w karczmie szczęśliwi, natomiast Giorgio już wchodził do niej apatyczny, zapadał w milczenie, i im więcej pił, tym stawał się smutniejszy. Zazwyczaj prostytutki respektują ludzi, którzy nie dają się wciągnąć w zabawę, i Giorgio zauważył to, gdyż emanował większym smutkiem, niż w rzeczywistości odczuwał.

W istocie jego historia była prosta i banalna. Nie miał wspaniałej przeszłości, którą chciałby się przed innymi pochwalić. Jego wykształcenie ograniczało się do dwóch klas licealnych, których zaliczenie zabrało mu pięć lat.

Potem porzucił szkołę i w krótkim czasie roztrwonił skąpy majątek rodzinny. Jego matce zależało na tym, aby osiągnął status wykształconego mieszczanina, ale oprócz tragarza nie znajdował innego zajęcia. Nie mogąc utrzymać matki, opuścił ją i zaczął żyć w skromnym lokum z innym tragarzem, niejakim Giovannim. Gdy szło wszystko dobrze, pracował dwa lub trzy dni w ciągu tygodnia. Był niezadowolony z siebie i z innych. Wciąż się uskarżał. Narzekał, gdy otrzymywał wynagrodzenie, i nie potrafił się roz pogodzić nawet w długich godzinach bezczynności.

Bogaty nigdy nie był, ale kilkakrotnie znalazł się w sytuacji, w której mógł realnie pomarzyć o osiągnięciu pozycji lepszej. Osoby mu bliskie, przede wszystkim matka, marzyły razem z nim. I to właśnie te marzenia Giorgia, które niestety nie spełniały się, a raczej wciąż oddalały, kosztowały życie Antonia.

Obudził się, zaniepokojony trzaskiem. To Giovanni, który przez pomyłkę włożył na nogę nie swój but, uderzył nim gwałtownie o ziemię.

Giorgio, udając, że jeszcze śpi, i oddychając głośno, powrócił niespo dziewanie w myślach do zabójstwa. Gdyby nie to, że było już popełnione, teraz by się na nie chyba nie odważył. Ale ponieważ była to już rzecz dokonana, no i znajdował się, odprężony po długim odpoczynku, w miejscu zapomnianym przez wszystkich, czyli w miejscu bezpiecznym, nie doświadczał wyrzutów sumienia, kładąc głowę na swym skarbie. Było to pierwsze odczucie w tym dniu.

Giovanni, już ubrany, ujął go za ramię i potrząsnął nim:

- Nie idziesz szukać pracy, leniu?

Giorgio otworzył oczy i przeciągając się, jakby dopiero co się

przebudził, mruknął:

- Dzisiaj już się nie znajdzie. Pozostaną jeszcze trochę w łóżku.

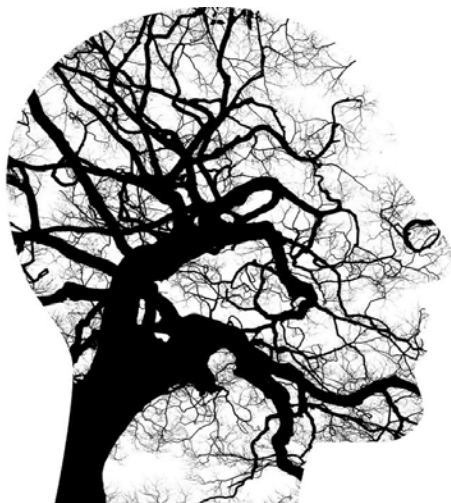
- Och, prawdziwy pan! - wykrzyknął Giovanni. - Nie przeszkadzam w odpoczynku. I wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

Od zewnątrz, bez klucza, nie można było wejść do środka, ale Giorgiowi to nie wystarczało. Podniósł się i poszedł zawiesić łańcuch. Potem wyciągnął z kieszeni banknoty i policzył je.

Widok tych pieniędzy nie nastrajał go oczywiście pogodnie: były one wspomnieniem zabójstwa i mogły stać się próbą. Ponadto obraz ulicy zalanej porannym słońcem rozdrażniał go. Aby znów poczuć zadowolenie ze swego uczynku, zaczął liczyć przez ile lat z tą sumą mógłby żyć wolny i bogaty. Ale w rachunkach przeszkadzał mu problem: "gdzie pieniądze ukryć?"

Podłoga była pokryta deskami, położonymi w sposób prowizoryczny, nie licząc jedynie kilku, na obrzeżach pokoju, przytwierdzonych do podłoga. Dobrych kryjówek było dosyć, ale niepewnych, bo przy jednej jedynej szafie, i w dodatku bez klucza, dwóch współlokatorów używało ich często.

Ale dobrych pomysłów nie brakowało Giorgiowi. Ukrył banknoty pod materacem Giovanniego. Podczas gdy był pochłonięty pracą, lekki hałas, który dochodził z rogu pokoju, tak go przestraszył, że opuścił zniecka łóżko, raniąc sobie rękę. Aż musiał zagryźć wargi, by nie zakrzyknąć z bólu. Ten szelest przypominał mu szamotaninę. Gdy wreszcie się uspokoił, przyznał strapiiony, że pomimo dobrych pomysłów brakowało mu w tych okolicznościach czegoś ważnego i użytecznego.



Zadecydował, że przez jakiś czas nie wyjdzie. Wolał przebywać w tym półmroku, niż wyjść na jasną ulicę. Widział światło, które przenikało przez jedyne okno, i zastanawiał się, jak by się czuł na ulicy w ciągu dnia, skoro czuł się tak źle, chodząc po niej nocą.

To Giovanni przynosiłby mu wiadomości krążące na temat zabójcy. Przecież miał on codzienny zwyczaj czytania "Małego Kuriera", a więc byłby poinformowany.

Wydarzeniem, prawdopodobnie najważniejszym z dnia poprzedniego, było jego zabójstwo! Najważniejszym! Poczł się, jak gdyby jakiś ciężar położono mu gwałtownie na sercu.

Z pewnością i jego kompanów pochłonełaby ta historia.

O Boże, skąd wziąłby odwagę na rozmowę o zabójstwie, gdyby do tego był zmuszony? Czy miałby przemienić się w aktora? Akurat on, który pomimo perwersyjnej krwi, przy najmniejszej emocji już się czerwienił?

Przestudiował swą rolę. Zrozumiał, że będąc osobą mało finezyjną, w obliczu zabójstwa musiałby wykazać nieskończone zbulwersowanie. Nie spokój, nie obojętność, bo odegranie tego byłoby dla niego zbyt trudne. Natomiast wielkie oburzenie wytłumaczyłoby jego zaczerwienienie na twarzy oraz drżenie rąk, i również zainteresowanie najdrobniejszymi szczegółami, które byłyby mu z pewnością zrelacjonowane.

Ubrał się o godzinie jedenastej, bo o tej porze nie było jeszcze inwazji kompanów na zewnątrz, i przeniósł się do pobliskiej karczmy. Zanim wyszedł ze swej nory, popatrzył na nią długo. Jak zwykle odkurzył miejsce w pobliżu łóżka Giovanniego.

Nikt by się nie domyślił, że w tym pokoju był ukryty skarb.

W karczmie nie było nikogo, jedynie kelnerka. Z nią, kobietą ładną, choć trochę już przekwitłą, lubił czasami pozartować, ale w tym dniu było to niemożliwe.

Siedział, reagując na każdy dźwięk, który mógłby zwiastować nadejście innych osób.

Nie usłyszał jeszcze ani nawet jednego słowa na temat zabójstwa! A chciał je w końcu usłyszeć!

Miał już wyjść, ale wrócił do Teresiny, która nosiła naczynia do spizarni. Ujął ją za podbródek i patrząc jej głęboko w oczy zapytał: - Nic nowego Teresina? W jego głosie słyszało się wzruszenie, które go samego zadziwiło.

-Och! Jedno szczęście! - wykrzyknęła Teresina, odsuwając się od niego, bo byli zbyt blisko drzwi. - Bałam się, że jesteście chorzy,

widząc was dzisiaj z tą poważną twarzą!

- Nie czuję się dobrze! - powiedział, i aby mu łatwiej uwierzyła, powtórzył to zdanie kilka razy.

Teresina oczekiwała całusa, i dlatego umiejscowiła się w mroku, ale on tylko zbliżył się do niej, wziął ją przyjaźnie za rękę i powtórzył swoje pytanie: - Nic nowego?

- Nie potrafi pan nic innego powiedzieć dzisiaj? - spytała. I uwalniając się z jego uścisku uciekła.

Do domu maszerował krokiem, który miał być zdecydowany, ale czuł się ogólnie zbyt słaby i nadzwyczaj niepewny. Myśl o zabójstwie odebrała mu jakąkolwiek dezynwolturę. Jego zachowanie nie było naturalne, ani nawet z tą subretką! Dlaczego wyobrażał sobie, że całe miasto mówi o zabójstwie? Zapytał się Teresy, czy wiedziała coś nowego, spodziewając się od niej jakichś wiadomości. "Och! Trzeba zmienić zachowanie" - pomyślał, przygryzając wargi; "chodzi przecież o moją skórę". Tak niemądrze trzymał się w ryzach przy Teresie, że jeszcze byłaby zdolna zaświadczyć przeciwko niemu.

Może w mieście nie wiedziano o zabójstwie! Ta nadzieja, choć bez sensowna, zmniejszyła jego przygnębienie. Była to jedyna hipoteza, która go uszczęśliwiała, bo i tak czuł się ukarany, pomimo że był na wolności. Ten bezustanny terror był już sam w sobie ciężką karą. Ale któż mógł o tym wiedzieć. A może trup Antonia, za sprawą nieokreślonego fenomenu, zniknął z powierzchni ziemi?!

Nadzieja chyba zawsze suponuje spełnienie się w naturze cudu.

W południe przyszedł Giovanni, któremu również oszacował, że nie czuje się dobrze, aby usprawiedliwić swą nieobecność w pracy.

- Aaa tak! - nie bez podejrzenia odrzekł Giovanni - Jesteś chory, jak zwykle, co?

Rzeczywiście, nie po raz pierwszy Giorgio mówił, że jest chory, aby wytłumaczyć swe lenistwo.

Potem Giovanni, nie tracąc czasu, zaczął opowiadać o zabójstwie na ulicy Belpoggio. Ponieważ jadł chleb, który przyniósł z obiadu, oczekiwane z niecierpliwością przez Giorgia słowa wychodziły z jego ust z długimi przerwami. - Jasne, Antonio Vacci... podobno chodzi o ponad 30 tysięcy forintów. Niezła akcja! Serce zgruchota ne! Jeśli przeżył dziesięć sekund, po otrzymaniu tego ciosu, to dużo.

Giorgio ekscytował się nie tylko z powodu gasnącej nadziei. To raczej to "serce zgruchotane" go poruszyło, zadając mu silny ból w rękę. W rękę, która przy zadaniu ciosu odczuła chyba ostatnie wibracje wnętrza Antonia. Myśl o tym powodowała u Giorgia

drzenie. Szamotał się w środku. Wszyscy znaleźli nawet szczegóły zabójstwa, które jawiło się jako rzecz ogromna.

Bał się otworzyć usta. Ważył każde słowo, gdyż mogło według niego wzbudzić podejrzenie. Czy nie było sposobu, aby zmusić do mówienia tego dziwoląga, który zajęty swym mizernym posiłkiem jeszcze nic nie powiedział o hipotezach, jakie już z pewnością poczyniono w mieście na temat zabójcy?

Nareszcie Giorgio znalazł pytanie, które wydawało mu się arcydziełem naturalności: - A zabójcą kto jest? Aby je znaleźć, musiał najpierw pomyśleć, które z faktów przytaczanych przez Giovanniego znał jedynie dlatego, że to on był autorem czynu. Ponadto musiał wyłowić ewentualne niejasności, aby nie pokazać, że zrozumiał wszystko zbyt prędko. - A więc zabójcą kto jest? Z zadowoleniem zauważył, że sprowokował u Giovanniego zniecierpliwienie.

Jak chciał, to umiał oszukiwać dosyć dobrze. Tylko jeden żal miał do siebie tym razem: z radości, że znalazł to pytanie, prawie nieświadomie je powtórzył.

- Nie powiedziałem ci już? Nie znaleźli go dotychczas.

Nie wiadomo kto to.

I od Giovanniego już więcej nie mógł się dowiedzieć, więc zrezygnował. Aby mieć wiadomości, które posiadał Giovanni, wcale nie musiał poddawać się torturom rozmowy. Mógł zapewnić je sobie z gazety.

Piętnaście minut po wyjściu Giovanniego też wyszedł, i to z dużym hartem ducha, co sam w sobie docenił, choć - prawdę mówiąc - nie bez zawahania się przez chwilę. Jego pragnienie posiadania wiadomości, spotęgowane przez kompana, osiągnęło wyżyny.

Aby dotrzeć do najbliższego kiosku z gazetami, musiał maszerować przez prawie dziesięć minut. Najpierw przemykał się blisko murów, ale żeby nie wyglądać na osobę, która się ukrywa, przeszedł odważnie na środek drogi. Zamierzał poruszać się z naturalnością, natomiast wciąż się potykał. Czyżby oduczył się chodzić?!

Po zakupie gazety powrócił od razu do domu. Rzucił się na materac, który przesunął pod jedyne okno, i zaczął czytać. Nigdy w swym życiu nie potrafił znaleźć tyle zainteresowania dla kawałka drukowanego papieru. Pograżył się w czytaniu tak głęboko, że po ukończeniu lektury wydawało mu się, że przebudził się z długiego snu.

Morderstwo było najważniejszym faktem w kronice lokalnej i wypełniało ją prawie w całości. Relacja o zdarzeniu była poprzedzo

na danymi o częstotliwości, z jaką podobne fakty kryminalne zdarzały się w mieście. Była utrzymana w tonie goryczy, co dodatkowo przygnębiało zabójcę, oraz potępiała niedbalstwo, z jakim nadzorowano publiczne bezpieczeństwo.

Czytając, wydawało mu się, że nienawidzi gazety! Dlaczego to podniecenie? Nawet gdyby go ukarano, drugi z pewnością już by nie ożył. Czyż nie wystarczała już sama zaciekiłość, z jaką go poszukiwano?

Z całego artykułu wynikało, czy też chciano, aby wynikało, że zabójstwo wywołało w mieście maksymalne wrażenie. "Chodzi o akt kryminalny" - pisał dziennikarz - "dokonany z niespotykaną zuchwałością, na ulicy dość bliskiej centrum, o godzinie nie znów tak późnej, aby mówić o wyludnieniu. Zwykły przechodzień, wyłącznie dlatego że miał przy sobie pieniądze, został nikczemnie zamordowany".

Mylili się, więc Giorgio powinien być zadowolony, bo podejrzenie trudniej by mogło paść na niego. Nikt nie widział ofiary w towarzystwie zbrodniarza. Ale opis napadu agresora, który zabił przypadkowego przechodnia, bo podejrzewał, że ma on w kieszeniach pieniądze, czynił zabójstwo okropniejszym. Udręka Giorgio powiększała się. Nikt nie wiedział, na jaką pokusę był narażony z powodu głupoty Antonia.

Nietrudno było zrozumieć, że zbrodnia opisana w ten sposób musiała wstrząsnąć całym miastem. Każdy się teraz czuł zagrożony.



O zabójcy ani jednego słusznego słowa.

"Na krótko przed faktem" - pisała gazeta - "widziano kręcących się w pobliżu dwóch osobników o podejrzanym wyglądzie, przypu szcześnie autorów zabójstwa".

Choć ten błąd wielce pocieszał Giorgia, to jednak dziwnie nie dostarczał jego sercu choć odrobiny spokoju.

Ogólnie ten artykuł głęboko go poruszył i - pomimo błędnych w nim hipotez - budził w nim zaniepokojenie i strach. Chyba znajduje się w nas część tak bardzo delikatna, że cierpi się już na samą myśl, że ktoś nam życzy źle. Czuł, że coraz bardziej zatacza się wokół niego krąg nienawiści, i to go przygniatało.

Gazeta, nie mogąc napisać słowa o zabójcy, ujawniała szczegółową biografię ofiary.

Antonio Vacci miał żonę i dwie córki. Jego rodzina żyła w biedzie, aż do kilku miesięcy wstecz, kiedy to otrzymała nieoczekiwany pokaźny spadek. Vacci był opisany jako osoba ograniczona. Odkąd się wzbogacił, miał zwyczaj noszenia przy sobie pokaźnej sumy pieniędzy, które pokazywał każdemu, kto tego pragnął.

Nie można więc było podejrzewać wszystkich osób, które wiedziały o przenośnym skarbie, bo było ich zbyt wiele. Tymczasem, dodawała gazeta, wkrótce się przesłucha mieszkańców domu, w którym mieszkał biedny Vacci.

- Och! Gdybym był uciekł - pomyślał z żalem rozgorączkowany Gior gio. Z tekstu jasno wynikało, że do momentu, gdy chciał wyjechać, podejrzenie jeszcze nie padło na niego. Udając się poprzedniego wieczoru do Udine, dotarłby aż do Szwajcarii, nie musząc się już obawiać aresztowania. Uważał, że cierpienie, które czyniło go tak nieszczęśliwym, skończyłoby się, gdyby znalazł się daleko od miejsca zbrodni.

Pod wieczór wyszedł na dwór. Spacerował już śmieiej, przekonany o swej niezauważalności. Ale strach królował w jego ciele: wystarczyłoby coś niespodziewanego, np. widok osoby w mundurze, aby go wielce strwożyć. Był pewien, że to nie lektura gazety bez opisu zabójcy, ani świadomość, że nie jest podejrzanym, dawały mu odwagę. To przyzwyczajenie do nowej sytuacji pozwalało mu poruszać się swobodniej. Większa część tego, co nazywamy odwagą, jest w istocie doświadczeniem i przyzwyczajeniem się do niebezpieczeństwa.

III

Giovanni wrócił o siódmej wieczorem i popatrzył na niego tragikomicznie: - Czy wiesz, że się podejrzewa, że to ty jesteś zabójcą Antonia Vacci? - powiedział bez ogródek.

Giorgio leżał w ciemności na swym postaniu. Poczł, że gdyby nawet nie było to prawdą, ktoś drugi, na sam widok jego twarzy, która w tym momencie z pewnością się zmieniała, miałby prawo uznać to podejrzenie za uzasadnione. Gdzie się podziały u niego dystans i swoboda? - Kto? - wyjąkał. Nie można było zadać pytania głupszego, ale wolał je od wszystkich innych, bo było najkrótsze, jakie mu przyszło do głowy.

Giovanni odpowiedział, że wszyscy ich znajomi o tym mówili. Według "Małego Kuriera Wieczornego" jakaś kobieta widziała uciekającego z miejsca zbrodni mężczyznę, który nieomal przewrócił ją na ziemię. Potrafiła też podać na temat jego wyglądu szczegóły dość precyzyjne; na razie dotyczące włosów - czarnych, krętych i bujnych oraz kapelusza filcowego.

Strach, który pojawił się u Giorgia po pierwszych słowach Giovanni, zmniejszył się dość znacznie po ostatnich. W końcu spokój, choćby mały, powinien go nawiedzić! Przypominał sobie tę kobietę, która widziała go w mroku przez krótki moment, ale tak krótki, że z pewnością nie zaobserwowała u niego niczego więcej oprócz kapelusza filcowego i czarnych włosów. Ponadto nie widziała go jak morduje, więc gdyby go nawet spotkała i rozpoznała, nie byłby całkowicie stracony. Mógł się uratować, zaprzeczając wszystkiemu. To prawda, jego sytuacja była paskudna, i był tego świadomy, ale nie desperacka. Włosy można przecież obciąć i również zmienić kapelusz.

- Popatrz, co za przypadek! - zwrócił się do Giovanniego z zuchwałością, do której wcześniej nie byłby zdolny. - W dzisiejszym beczynnym dniu postanowiłem ściąć włosy, które mi przeszkadzają, i również... również zmienić ten kapelusz filcowy, który mi się nie podoba.

Nie było źle, ale strach emanował, jeśli nie od słów, to od brzmienia głosu, i obserwator bystrzejszy niż Giovanni z pewnością by to zauważył.

- Jeśli nie chcesz mieć kłopotów z policją, zrobisz dobrze, nie zmieniając teraz ani twojej fryzury, ani twojego kapelusza - zauważył inteligentnie Giovanni.

- Ale przecież możesz ty oznajmić, że chciałem dokonać tych zmian jeszcze przed tym, zanim mówiło się o kapeluszu i włosach zabójcy!



Och, gdyby mógł zaciągnąć Giovanniego na swą planetę, uczynić go swym wspólnikiem! Gdyby nie ten okropny strach, że stanie się on jego pierwszym oskarzycielem, zarzuciłby mu ręce na szyję, zwie rzyłby się i zaproponował mu połowę swego skarbu, obciążając go w ten sposób połową swych cierpień. Posiadanie wspólnika byłoby uwolnieniem, gdyż wierzył, że jego koszmar by zmałał, gdyby mógł go ujawnić w słowach. Ciągała myśl o represji wydawała mu się najokropniejsza, bo tłumiona w środku. To było powodem, że nie potrafił powziąć żadnej energicznej decyzji, która by go ura towała. Rozumowało się naprawdę źle przy tych myślach nie spokojnych, które przechodziły przez głowę, nie pozostawiając żadnego śladu, ulatniając się w mgnieniu oka.

Postanowił sobie trochę pomóc, wykorzystując jednak nie przyjaźń Giovanniego, lecz jego słabość umysłu. - Zresztą - powiedział z obojętnością - wiesz dobrze, że o godzinie, o której popełniono zbrodnię, ja byłem już w łóżku. Faktycznie, przypominam sobie, że mnie przywitałeś, wchodząc do domu.

- Nie pamiętam! - powiedział Giovanni niepewnie, zamykając defini tywnie Giorgiowi usta. No tak, wyglądał na podejrzanego.

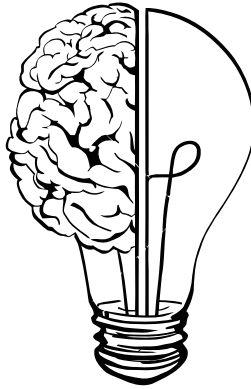
A więc zamilkł, pomimo że Giovanni mówił dalej, jak gdyby chciał mu przywrócić odwagę, którą wcześniej mu odebrał. Krótco przed wyjściem powiedział: - Wystarczył cios nożem, by zapewnić fortunę temu, kto go zadał. Ja, nawet gdybym żył sto lat i ciągle pracował, nie zarobiłbym tyle, ile ten typ zdobył w jednej tylko chwili. To przesady wstrzymują nas od zrealizowania własnego interesu. Trzask prask! Cios dobrze zadany i ma się wszystko, co jest potrzebne do szczęścia.

Giorgiowi przeszło przez myśl, że Giovanni chyba potrafiłby go zabić w dogodnych warunkach, w celu przywłaszczenia sobie jego skarbu, natomiast nie zaakceptowałby współudziału w niebezpiecznym interesie. Poczul się o wiele lepszy od Giovanniego, który z tak zimną krwią mówił o zabójstwie. Owszem, on je popełnił, ale w określonym momencie, ulegając pokusie uczynienia tych pieniędzy własnymi, gdyż uratowałyby go od bardzo nieszczęśliwego życia. To prawda, nie rozumował wówczas, ale nawet gdyby w tamtym momencie miał przed oczami karę, jaka mogłaby go spotkać, nie dałby się powstrzymać. Zaryzykował własnym życiem, aby móc je odebrać drugiemu, a nie jak tchórzliwy Giovanni, który egzaltuje się zabójstwem wygodnym i bezpiecznym. Czy może już zapomniał o tym?

Czyn, z którego pamiętał jedynie moment, nie był skutkiem chwili lowej aberracji, i myśl, że wykonał go tak energicznie, dawała mu satysfakcję. Przypomniał sobie mgliście, że niektóre opinie, podobne do tych, które wypowiedział Giovanni, również mu przeszły przez głowę. Jakież dziwne osłabienie pamięci... To zabójstwo po dzieliło jego życie na dwie części. Oprócz niego nie przypominał sobie własnych myśli czy wrażeń, chyba że w sposób mętny, jak gdyby chodziło o rzeczy nie przeżyte, lecz usłyszane w opowieściach wiele lat wcześniej. Teraz musiał pogodzić się z tym, że był on osobą, której ujęcia pragnęło całe społeczeństwo. Jak uciec przed taką nienawiścią, jak uczynić ją mniej słuszną? Gdyby miał wytłumaczyć logikę swego zabójstwa, co powiedziałby, aby zmniejszyć jego okrutność? Aby przekonać drugich, że w istocie był on osobą lepszą, niż się jawił w świetle tego zdarzenia? Opowiedziałby, że osobnik, którego dopiero co poznał, wręczył mu pieniądze, mówiąc: "Jeśli mnie zabijesz, są twoje!" I on, przyjmując to wyzwanie, zabił go.

Nie miałby nic innego do powiedzenia? Z pewnością to nie wystarczało, aby go usprawiedliwić i zmniejszyć ciężar jego winy. Odkrywszy więc, że nie da się przekonać innych o jego niewinności, uświadomił sobie, że zawładnęła nim irracjonalność. I rzeczywiście, dziwne jest poczucie niewinności u osoby, która zabiła, i to nie z miłości czy nienawiści, ale z chciwości.

Nie mógł już dalej siebie oszukiwać, ale tak bardzo zależało mu na zmniejszeniu względem siebie ludzkiej wrogości oraz pogardy swych przyszłych sędziów, że poświęcił temu wszystkie swe myśli. I gdy już uwierzył, że znalazł rozwiązanie, zaangażował w to dzieło swój cenny czas.



Od wielu lat nie przypominał sobie o matce, ale teraz wróciła mu w pamięci, bo chciał skorzystać z jej pomocy w obmyślonym przez siebie planie. Gdyby jego zabójstwo odkryto, a nie posiadał nie stety takiej mocy, aby w tym przeszkodzić, przekonałby wszystkich, że go dokonał w celu pomocy swej starej matce.

O zmierzchu odbył długą drogę do osady San Giacomo, aby znaleźć swą rodzicielkę. Idąc, nie myślał wcale o przyjemności zobaczenia jej, natomiast po raz kolejny wyobrażał sobie scenę, w której usprawiedliwiłby się przed sędziami.

Jego zabójstwo miało na celu jedynie pogodnie wypełnić ostatnie lata życia biednej staruszki, swej matki. Nie miał wątpliwości. Byłoby mu łatwo przeobrazić w dobroduszną pobudkę, które kierowały nim w zbrodni.

Był pewien, że może włączyć swą matkę w odegranie tej komedii.

Była to kobieta inteligentna, która go nie kochała, odkąd zdradził pokładane w nim nadzieje, ale która uściskałaby go na wiadomość, że jest bogaty. Wielce go pocieszała ta nadzieja na uzyskanie jej afektu, na który oczywiście odpowiedziałaby całą swą duszą. Ukoiłoby się w nim jego niepokój i zatopiłoby się to, co on niesłusznie nazywał żalem. Traktowałby matkę łagodnie, zwierzyłby jej się, jak sobie samemu, i dałby jej do dyspozycji wszystkie swe pieniądze. Ta miłość rodziła mu się w sercu wręcz gwałtownie. Nigdy wcześniej nie czuł czegoś podobnego w swej duszy. Był zawsze szorstki i pełen egoizmu, a teraz się sobie podobał w swym zamiarze uściskania istoty słabej i uczynienia z niej oddanej obrończyni.

Zobaczył chłopaka siedzącego obok pierwszego domku. Rozpoznał go i doznał radosnego uczucia. Był to Giacomino, synek od sąsiada matki.

Chłopiec palił papierosa z intensywną przyjemnością. Gdy zobaczył Giorgia, zarumienił się i ukrył papierosa w dłoni.

Giorgio się do niego uśmiechnął. Chciał go uspokoić i powiedzieć mu, że on oczywiście nie doniesie o tym ojcu, ale nie miał czasu i ograniczył się do uśmiechu.

- Moja matka gdzie jest? - zapytał z niecierpliwością, jak gdyby miał dla niej pilną wiadomość.

Chłopak, bardziej podbudowany tym uśmiechem, niż zasmucony przykrą wiadomością, którą miał przekazać, powiedział: - Pańska matka?... i po zawieszeniu tych dwóch jedynie słów, by Giorgia przygotować, dodał szybko: - pańska matka zmarła osiem dni temu w szpitalu. Mój ojciec będzie zadowolony z pańskiej wizyty, bo ma coś do przekazania od pani Annetty. Idę go zawołać!

- Nie potrzeba, nie potrzeba - powiedział Giorgio obniżonym głosem, i oddalając się już tak, że chłopak nie mógł go chyba usłyszeć, dodał: - Wrócę jutro, do widzenia.

W ten sposób stracił nadzieję, która towarzyszyła mu przez kilka godzin. Nie przez ból z powodu śmierci matki szedł teraz jak pijany i miał zmętniały wzrok. Nie widział przed sobą twarzy nieboszczki i nie przywoływał w pamięci jej głosu, którego nie miał już nigdy usłyszeć, ani gestów, które były często wobec niego uczuciowe. Zmarła niewłaściwie ta staruszka, a jej śmierć czyniła z niego znowu podłego zabójcę.

Ta niespodziewana wiadomość odebrała mu zdolność myślenia i rzuciła go znowu w objęcia prześladowców. Wcześniej, gdy zatopił się w marzeniach, aby nadać zabójstwu cel szlachetny i zyskać u kompanów, w razie wpadki, litość oraz zrozumienie, nie pomyślał o trudnym zadaniu uniknięcia kary. Znowu odczuwał strach przed wszystkim i uciekał również teraz, choć w istocie wracał do miasta, zbliżając się wielce do niebezpieczeństwa.

W ciemnościach, obok Placu della Barriera, miał dziwną wizję. Szedł przed nim, szybkim krokiem, człowieczek przygarbiony, mizerny, z rękoma w kieszeni, Antonio Vacca w sumie. Widział go wyraźnie, rozróżniał wszystkie szczegóły u tej nędznej osobki, nawet nieliczne siwe włosy, starannie zaczesane na skroniach. I przez moment nie miał jakiegokolwiek wątpliwości: Antonio jest żywy!

Nie pomyślał, jak to jest możliwe, skoro go widział na ziemi martwego. Tak, Antonio był żywy, i on go nie zabił. Rzucił się naprzód z okrzykiem. Chciał oddać mu wszystkie pieniądze i dołożyć mu nawet jeszcze inne w przyszłości, nie oczekując niczego w zamian. Jedynie aby zaświadczył, będąc żywy, że on go nie zabił.

Zdziwiony, znalazł przed sobą twarz wynędzniałą i pooraną zmar

szczkami, ale całkiem nieznaną, nie tę od Antonia. Popadł znów w desperację, tym większą, że rozumiał jak intensywnie pragnie życia Antonia, zasługując przez to, w swym przekonaniu, na mniej nienawiści. Doznał silnego współczucia dla siebie, co wywołało mu łzy w oczach.

Widział w sobie osobę, która znalazłszy się z własnej winy na ostrym stoku, spada w dół. I niestety, wszelki jej wysiłek, aby się zatrzymać, jest daremny, gdyż teren pod nogami rozstępuje się, a krzewy, do których chce się przyczepić, nie trzymają. Takim wysiłkiem, aby zatrzymać się w spadaniu, wydawały mu się wędrowniaki w poszukiwaniu matki i nadzieja odnalezienia Antonia żywego.

I teraz, w niepokoju, który nim zawładnął, dokonał ponownego wysiłku dla uratowania się, aczkolwiek w sposób tak nierozumny, że samemu poprowadził się na stracenie. Człowiek ze stoku, aby się ocalić, nie znalazł innego rozwiązania poza rzuceniem się samemu w przepaść.



Postanowił uwolnić się od tego filcowego kapelusza, który mu ciążył na głowie, jak samo zabójstwo. Zapomniał już o inteligentnej radzie Giovanniego i wszedł zdecydowany do kapelusznika. Była to pora, o której powinno się być mniej zauważalnym, bo zamykano sklep. Ale nie pomyślał o tym, że widząc go tak spoconym od biegu i podnieconym od emocji, wystarczyło małe podejrzenie, aby odkryć w nim złoczyńcę.

Elegancka dziewczyna, już ubrana i gotowa do opuszczenia sklepu, z wymownym wzrokiem zapytała go, czego pragnie. Gdy usłyszała, że chce kupić kapelusz, powróciła z grymasem za ladę. Właściciel, młodzieniec wysoki i szczupły, podniósł się w głębi sklepu od stołu. Wcześniej Giorgio go nie zauważył. I teraz nie patrzył na niego, ale czuł jego wzrok na sobie.

- Prędko - zamruczał tonem błagalnym, co dziewczynie musiało się wydać nie na miejscu.

Pokazała mu kapelusz. - Nie - odpowiedział żywo.

Dała mu następny, który wziął w ręce zdeterminowany. Nie chciał już stać o sekundę dłużej w tym świetle, czując na sobie przez nikliwy wzrok dziewczyny, właściciela, i nawet kuriera, który aż przerwał odbiór towaru, aby się na niego gapić.

Chętnie by nie przymierzył kapelusza przed jego zapłaceniem, ale był zmuszony, dla zwykłej ostrożności. Zdjął swój stary filcowy i twarz zaalała mu się obfitym potem. - Ciepło? - zapytała dziewczyna z przekąsem.

Nie potrafił się przez chwilę zdecydować na odpowiedź. Uznał, że to pytanie jest okazją do wyjaśnienia, że znajduje się w takim stanie, gdyż wraca z długiej wycieczki, a nie z innego powodu. Ale nie znalazł tyle śmiałości. - Tak! Bardzo ciepło! - mruknął osuszając czoło.

Zapłacił i wyszedł, zapominając w sklepie swego starego kapelusza. Natomiast nowy, zbyt mały, stał mu niewygodnie na głowie.

Na Placu della Barriera, przez który musiał przejść ponownie, zobaczył Giovanniego z innymi trzema kompanami. Podszedł do nich niezdecydowany, wiedząc z doświadczenia, że każde jego słowo, każdy jego gest, mogłyby być dziwne, aż do wzbudzenia podejrzeń.

Przywitali go lodowato i popatrzyli na niego z nieufnością. Nie było to zdudzenie spowodowane strachem, gdyż w taki sposób nie potraktowali go nigdy wcześniej. Spoglądali na niego z ciekawością i nikt do niego nie przemówił słowem.

Na pół pijany od terroru, zdobył się na ostatnią naturalność:

- Idziemy do karczmy? Płacę ja dzisiejszego wieczoru.

Giovanni odpowiedział: - Oni podejrzewają, że to ty jesteś zabójcą z ulicy Belpoggio, i dopóki nie oczyścisz się z tego zarzutu, nie chcą pójść z tobą! Zrozumiał, że gdyby był niewinny, musiałyby rozprawić się z tym, kto rzucał podobne podejrzenie. Ale co miał zrobić z silnym drzeniem, które atakowało mu ciało i odbierało głos?

Czterech kompanów, sterroryzowanych jego osobą, oddaliło się. Ich podejrzenie stało się pewnością.

Chwiejąc się na nogach, odszedł.

Uczynił zaledwie kilka kroków, gdy poczuł gwałtowny uścisk na ramionach i usłyszał tuż przy uchu okrzyk: "W imię prawa".

Miał gwałtowną halucynację, ale zachowywał na tyle dużo świadomości, by zrozumieć, że była to tylko halucynacja. Usłyszał ogromny

huk, odgłosy walących się rzeczy, przekleństwa zbrojnego tłumu i zobaczył przed sobą Antonia, który śmiał się arogancko, z rękami w kieszeniach, w których oczywiście ulokował swój odzyskany skarb. Potem już nic.

Znalazł się rozłożony na posłaniu. W pokoju była gwardia. Dwóch mężczyzn, ubranych po cywilnemu, z których jeden mały i krępy, o tłustej i łagodnej twarzy, wydawał się zwierchnikiem. Liczyli pieniądze, które znaleźli pod posłaniem Giovanniego. To on im pomógł i teraz stał z respektem w rogu pokoju. W drzwiach była straż wstrzymująca tłum, który pchał się energicznie do przodu.

Morderca! - krzyknęła do niego jakaś starucha, do której zdołał się zbliżyć u progu drzwi i splunąć.

Był zgubiony! Nie mógł negocjować. Ale co najgorsze, nie znalazłby nigdy słów, które opisałyby jego torturę i złagodziły jego winę. Dla wszystkich był on okrutną maszyną, której każdy ruch był złym czynem, lub pragnieniem dokonania go, podczas gdy on czuł się nędzną zabawką porzuconą w kapryśnym ręku.

Mężczyzna o łagodnej twarzy zapytał go spokojnym głosem, czy czuje się lepiej, po czym poprosił o personalia. W jego twarzy nie było znaku nienawiści czy pogardy, i Giorgio, odpowiadając na pytanie, wpatrywał się w niego nieruchomo, aby nie widzieć tłumu w drzwiach.

Potem ta sama osoba rozkazała straży wpuszczenie dla konfrontacji sprzedawczyni i kapelusznika.

- Nie - poprosił Giorgio, i obfite łzy spłynęły mu po twarzy. - Pan wydaje mi się osobą dobrą i nie będzie torturował mnie nadaremnie. Powiem wszystko, całą prawdę.

Potem przyhamował, jakby chciał znaleźć inspirację do zamknięcia, do ocalenia się, ale wystarczył mały gest niecierpliwości ze strony interlokutora, aby porzucić jakąkolwiek wątpliwość. To ja jestem zabójcą Antonia - powiedział głosem zgaszonym.

